

Zdzisław Broncel

Front próżniaków

Uniłowski jest we „Wspólnym pokoju” epikiem próżniackiego frontu, Rudnicki w „Szczerach” jego gwiazdą, Edmund Miller w „Fikcyjnej postaci” jego lirycznym, a Adam Tarn w wydanej niedawno powieści „Portret ojca w czterech ramach” *) doprowadził ten rodzaj literatury niemal do absurdu. W każdym razie napisał powieść tak typową dla pewnego gatunku twórczości i postawy wobec życia, że nie może ona przejść bez wrażenia.

Jeżeli wobec dzieła wartościowego publiczność nie klaszcze, krytyka milczy, albo odwrotnie — wobec szkodnictwa kulturalnego publiczność nie gwiździe, a krytyka nie atakuje, mówimy, że mamy publiczność bez smaku i krytyków głuchych, ślepych, zaśniędłych w gnuśności. Tym razem idzie o drugi wypadek. Zdaje się, że książka Tarna, jak tyle innych, przyjęta będzie w tradycyjny sposób: to pochwała, tamto zganianie, reklama wydmie ten balon blagi pod niebiosy i abonenci czytelnicy zaczną zachłystywać się sukcesem. Maluczo — prenumeratorzy pism literackich otrzymają jako premię tę pseudojocelowską analizę prądów świadomości, opływających u Tarna zasadniczo i wyłącznie dolną część ludzkiego tułowia.

A właśnie trzeba, żeby „Portret ojca w czterech ramach” nie był literacką jętką. Żeby nie minął tak odrazu, jak jednodniowa muszka. Książce należy się swoista sława, należy jej się reklama ostrzegawcza. Oczywiście odrazu przychodzi na myśl uwaga, że skuteczniejsze jest milczenie, niż ostry atak, który właśnie jest najpewniejszym środkiem wyrobienia książki rozgłosu. Doskonale, niech i tak będzie. Niema obawy. Powieść Tarna ma w sobie taką dozę bakcylu, że w każdym czytelniku odezwi się instynkt samozachowawczy. Otrząsnie się ze wstrętem. Zobaczy, jaką to my literaturę tolerujemy, roztrząsa jej szczegółoliki estetyczne, bawimy się w dyskusję nad metodą autora, nie pisząc na czele — książka zła i szkodliwa.

Zatem — Tarna pod światło. Pod światło wraz z jego rodzimymi prekursorami. Pod ostry reflektor.

Tak, nikt nie przeczy, że autorowi należy się od krytyki analiza estetyczna, ocena jego wysiłku twórczego, zbadanie sposobu myślenia i ujmowania zjawisk, określenie na czym polega wizja świata tak, a nie inaczej ujęta w jego dziele. Tylko trzeba się zastrzeż — książka zła i dobra nie może wyjść z pracowni krytycznej z receptą o wypisanych dokładnie składnikach, a z brakiem objaśnienia, czy składniki są dobre, czy złe.

Jeżeli zajmujemy się Tarnem, to dlatego, żeby z jego książki

zrobić epilog pewnej manji literackiej, pewnego literackiego sposobu życia i próżniackiego sposobu pisania. Po ukazaniu się powieści Tarna, trzeba powiedzieć — stop!

Literatura faktu kończy się samą siłą rzeczy, literaturze próżniackiej ten koniec należy się prędzej.

Skąd ona wyrasta? Przypomnijmy sobie skandal, jaki stosunkowo nie tak dawno wywołał Uniłowski „Wspólnym pokojem”. „Wspólny pokój” otwierał właśnie życie młodych literatów. Skandal wybuchł dlatego, że zdemaskowano nieróbstwo. Pod przerysowanymi nazwiskami bohaterów „Wspólnego pokoju” odgadywało się prawdziwe nazwiska. Młode talenty obruszyły się wówczas, bo okazało się, że główne ich zaciebie stanowią poszukiwanie pieniędzy, mających lecieć, jak manna z nieba, po zdobyciu pieniędzy poszukiwanie alkoholu, kobiet i dysput przy pół czarnej. W książce Uniłowskiego nie dostrzeżono się śladu pracy. W światku literackim, jaki przedstawił, mimo czasów, gdy wszystko tętni pracą, praca nie znajdowała wyrazu. Skąd czerpać soki twórcze, jakże kształcić postawę wobec życia, jak wyczuwać jego tętno, kiedy metoda literacka polega na walkośństwie i analizowaniu walkośności psychicznej?

Kontakt z życiem? Owszem — wzajemne obserwowanie się, wzajemne fotografowanie — jednego genjusza robione przez drugiego. Kiedy Uniłowski sfotografował wszystkich razem, zrobił gabineutowe zdjęcie, wybuchła awantura.

W tych warunkach literatura, tworzona przez ludzi, nie biorących czynnego udziału w życiu społecznym, nie znających innego frontu życia, jak własny próżniaczki, musi być oddalona od współczesności, musi być obca, nieczyja, zjawiająca się nie wiadomo, pociągająca dla kogo.

Oto na innym froncie pisze Górawczyński, pisze o Śląsku, o pracy, zespała w swej książce życie i sztukę. Oto pisze Choromański — pisze o szpitalach, o cierpieniu, o ludzkiej walce ze śmiercią; pisze Rusinek — wykrawa żywy kawał polskiego życia, a obok nich pisze Miller, Uniłowski, Tarn i na pograniczu stojący Rudnicki.

O czym mają pisać ci, których światem zewnętrznym jest „Ziemianka”, haustem życia — pół czarnej, domem — zerożywowana, zgangrenowana atmosfera „Wspólnego pokoju”? Jedną jedyną możliwość: powieść psychologiczną.

Tak też się dzieje. Nie wolno byłoby robić zarzutu z a s a d n i c z e g o, że obracają się oni

w ramach powieści i noweli psychologicznej, i że dla sztuki odchodzą od życia, byleby była to sztuka naprawdę. Tymczasem pod względem artystycznym występują te wszystkie cechy, jakie łączą ich powieści psychologiczne z zamierzającą literaturą faktu i jakie szkodliwe są artystycznie i w ostatecznej konsekwencji — społecznie.

Literatura faktu jest literaturą bierności społecznej, a więc też swego rodzaju wynikiem lenistwa. Po przeprowadzeniu akcji uświadamiania o klęskach społecznych, po „Pamiętnikach bezrobotnych”, nie można ogłaszać jednego więcej reportażu, nie przynajmniej się samemu do braku twórczej postawy wobec tragedji współczesności. Kto dziś nadal pisze powieściowe, czy nowelistyczne obrazki z dnia, ten tkwi w punkcie statycznym, nie kształtuje życia, a tylko je protokuluje. Spisuje sto pierwszy formularz.

Ta statyka, bezruch, martwość tkwi w powieści psychologicznej klanu Tarnów i Uniłowskich. Wyrwane najważniejszy nerw, sam rdzeń — w ołę. Powieść Tarna jest typowym przykładem powieści o psychice nie kształtowanej wolą. Jego bohater do niczego nie dąży, nie przeżywa żadnej prawdziwej namiętności. Powieść psychologiczna — ma-

łoż dowodów w literaturze? — może wydać dzieła wspaniałe, ale wtedy, gdy istnieje prąd życia psychicznego, gdy można je porównać do rzeki, a niebo do stawów i zastoin.

Powieść psychologiczna Tarna jest fałszem. To nie jest prawdziwa ludzka psychika. To jest psychika zdegenerowana, psychika nieroba. W tem znaczeniu „Portret ojca w czterech ramach” jest prawda, tylko, że nie wyznana przez autora. Tarn nie zaznacza ze swej strony niczem, że mamy studjum psychiki chorobliwej — dalej, nie motywuje niczem psychiki swego bohatera. Jest ona jakby zawieszona w przestrzeni, do nikogo nienależąca, bezosobowa — i dlatego mamy prawo powiedzieć, że zdaniem Tarna, że według jego osobistego doświadczenia psychika człowieka wygląda właśnie tak!

Tarn jest demonstracją do czego może doprowadzić twórczość literacka, w oparciu o tryb życia „Wspólnego pokoju”. Jak Uniłowski demaskował stronę zewnętrzną tak Tarn demaskuje stronę wewnętrzną. Lecz kiedy nagość książki Uniłowskiego wyłącznie była obrażająca, u Tarna znajdujemy miejsca, przy których nie sposób nie przyznać się: tak, jednak my z tym człowiekiem mamy coś wspólnego, jednak i w nas są jakieś mroczne rezultaty podświa-

domości...

Ten moment decyduje o szkodliwości społecznej powieści tego rodzaju. Przy obecnej modzie na determinizm psychologiczny, na freudyzm, przyczem moda łączy się z dyletancką, po lebkach, fałszywą i tumaniącą znajomością tych problemów — czytelnik gotów będzie przygnębiającej sugestji, obraz psychiki zdegenerowanej bierze za obraz własny, zostaje wydany na łup beznadziejności, na łup przeświadczenia, że on, człowiek, nie włada swoją duszą, jego myślenie jest wypadkową jakichś podświadomych procesów libido seksualis i t. p.

Może płyną w naszej polświadomości czarne fale, może naprawdę gniewi się w nas ohyda, ale jest jasny i czysty głos rozkazu, który potrafi to wszystko zgnieść i wepchnąć w właściwe miejsce. Najważniejsza treść myśli jest inna — płynie z życia, z pracy, z twórczości, a nie z rozkładu, jaki w bezczynności musi się dokonywać.

W literaturze próżniaczkiej nie psychiką nie rządzi: człowiek jest sfalszowany, poniżony do poziomu instynktów. Charakterystyczne: zwróćmy uwagę na obfitość u Tarna, Uniłowskiego, nawet u Rudnickiego, spostrzeżeń z zakresu uczuć ustrojowych (wrażenia wywołane przez narządy wewnętrzne). Ten wpływ ciała na psychikę występuje u nich bardzo silnie, nawet tak silnie, że powieść jest prawie powieścią fizjologiczną.

Stan rzeczy właściwy ludziom próżniącym. Wład za bezwładem psychicznym i fizycznym idzie przewaga instynktów.

Zatem — snobistyczne zakłamanie każe wierzyć w „śmiałość analizy”, w obnażanie „tajemnic”, w wdarcie się w „głębiny” i t. d. Błaga — są to rzeczy proste i wiadome, tylko, że człowiek żyje ponad niemi, żyje wyżej — pseudo-śmiałość tego typu powieści psychologicznej — jest po prostu przeprowadzką na niższe piętro.

A na jakie, możemy zobaczyć z cytaty z „Portretu ojca w czterech ramach”.

„O! lubię zmuszać sobie linję pośladków nie patrząc zadowolam się samym dotykiem. Gdyby rozbiła się i stała w gorsecie w króciutkiej koszuli odświeżającej widziałam tak we śnie i tak sobie wyobrażam to jest tylko przez dotyk. Mój stosunek do kobiet jest bądź czysto zmysłowy bądź umysłowy ale często się rączę do dziwne i śnię czasem o takiej, że leży z nią w łóżku — tak — nie pośrednio — wcale — jak — w małżeństwie? o czym się nie podczuwa stosunku?”

Czy jeszcze ktoś ma wątpliwości?

P. S. Pisząc o książce Tarna nie wspominałem szerzej o jej treści. Obecnie chyba już zbyt

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Prawo dwunastu milionów tablic

Oczywiście przesada. Nie będzie mowy o dwunastu milionach, ale, jak się czytający o tem niżej przekonają, w każdym razie o dobrych kilkudziesięciu tysiącach śpiżowych tablic.

A teraz proszę posłuchać: W starożytnym Rzymie pierwotne prawo spisane było na dwunastu śpiżowych tablicach. To było całe prawo rzymskie. Uczono go na pamięć w szkołach i każdy obywatel (nie mieszkaniowiec państwa, bo te rzeczy w Rzymie ściśle rozróżniano) znał prawo swej ojczyzny. Tak było pierwotnie. A potem!

Współczesny człowiek, ogłupiony potwornym rozrostem ilościowym praw, gotów sądzić, że rozszerzono i zużyciano prawo, uchyłając moc wyrytych na śpiżu przepisów. Otóż nie! Dwanaście tablic nadal pozostało zasadą prawa, uzupełnione nie licznymi ustawami, rozszerzającymi tę zasadę. Właściwy rozwój prawa szedł drogą podporządkowywania nowych zjawisk życia społecznego śpiżowym paragrafom dwunastu tablic. Pretor (coś w rodzaju ministra sprawiedliwości) ogłaszał, że dajny na to do nowopoznanego, zagranicznego materiału, zwanego jedwabiem, stosować się będzie te przepisy, które w prawie zasadniczym

odnoszą się do wełny i sprawa była załatwiona w ten lub podobny sposób. Obywatel więc znał prawo, a jego troską było conajwyżej zagadnienie interpretacji. Od tego byli adwokaci, a wśród nich najstynniejszy adwokat świata, Marek Tullius Ciceron, którego nazwisko wymawiać należy poprawnie Kikero.

Rzym dał światu — prawo.

A teraz wyobraźmy sobie, że ktoś pragnie współczesne prawo polskie wykuć na śpiżowych tablicach. Obojętne, czy na nas prawo, to nie jest kilkanaście tablic, ani kilka książek, zadrutowanych paragrafami, ani półka z takimiż książkami, ale cała biblioteka. Wedle najpobieżniejszych obliczeń po przeliczeniu na tablicę da to około sześćdziesięciu tysięcy tablic poważnej wielkości. Jeżeli ktoś zapragnął to tablice przybić na murach Warszawy, jak to było w Rzymie, to umieszczając po parę tablic na każdym domu stolicę, wypatetowałby niemi całe miasto, nie wyłączając perferyj.

Oczywiście żaden obywatel nie mógłby znać wszystkich praw. Nie mógłby ich znać także żaden specjalista. Jeden adwokat, powiedzmy specjalista od spraw karno-administracyjnych, znałby tylko drogę z ulicy Miedzianej na Cynową i łączność

między przepisami, wrytymi na tablicach tych ulic. Drugi, na przykład specjalista od prawa akcyjnego, znałby tylko drogę z Wroniej na Kruczej. Trzeci...

Niema wprawdzie u nas tablic na murach całej Warszawy, ale skutkiem jest ten sam. Prawnik czuje się w stosach przepisów jak w wydymach lotnego piasku. Zapada w nie coraz głębiej, bez nadziei wybrnięcia. Pokątny znawca gra rolę świnki morskiej na katarzynce: na chybił trafił wyściaga przepowiednie spośród stosu innych karteek. Obywatel natomiast nie usiłuje nawet poznać choćby części przepisów, bo wie, że to niemożliwe, że jest ich cała rzeka: jedne przypływają, inne odpływają, tracąc moc obowiązującą.

W tem położeniu człowiek ucieka, że użyje ulubionego zwrotu Goebbelsa, nie wie nigdy, kiedy łamie prawo, kiedy nie, jego poczucie prawa zanika, a filozofja prawna wygląda, jak psychologia owego czerkiesa (General rosyjski dostał ostrzeżenie, że publicznie zbija go po twarzą. Wziął więc dla ochrony ołbrzymiego czerkiesa i z nim wszędzie chodził. Pewnego razu szli przez Nowski Prospekt w Petersburgu, aż tu nawprost nich zatrzymała się olganecka karjolka, wyskoczył z niej

jegomość w cylindrze i mikołajewskim płaszczu, podszedł do generała i z dwóch stron „znieważał go czynnie”, poczem wrócił do karjolki. Generał w najwyższym oburzeniu oberwał się na Czerkiesa, a ten — stał na baczność. „Myślałem — tłumaczył się później — że on starszy”).

Co trzeba zrobić, żeby prawo stało się własnością narodu, żeby naprawdę żyło, a nie było zabawką dla maniaków? Trzeba wprowadzić hierarchję praw. Musi być prawo zasadnicze, muszą być obowiązujące zasady prawa, o objętości dwunastu tablic, żeby ich można było uczyć w szkole, żeby mogły wisieć w każdym urzędzie gminnym i żeby zarówno Franciszek Grzelak z Zarzecza, jak i profesor entomologii ze stołecznego uniwersytetu wiedzieli co jest wogóle zgodne z prawem, a co jest niedozwolone. Na szczycie hierarchji praw stać muszą dogmaty prawne.

Jak dotąd bowiem stosunek przeciętnego człowieka do prawa nie jest stosunkiem członka narodu do wytworu ducha tegoż narodu, ale stosunkiem murzyna z kolonji Keny do tajemniczych i niezrozumiałych żądań białego eksploatatora, opartych na zadrutowanych kartach białego papieru.

Henryk W. Chmielewski

Jasiek

Tak, jak codziennie, włókł za sobą gospodarzową kapotę, obwołaną łanami i nieprzydatną już do chodzenia. I tak samo byczek szedł pierwszy z krótkim, zadartym tłem, a grunniasta ociągająca się chyttrze naciągająca i rozporaz zanurzała głowę w kwitnącej koniczyźnie, wyrwywując male kępy.

Strach przeszedł entropaka, bo gospodyni patrzyła z podwórza.

— Puść klempe! Zebyś gołeniec połamała!

Pognał krowy klusem, aby jak najprędzej dostać się na szeroką drogę i zniknąć gospodyni z oczu.

— Nie łoluj tak, Jasiulek, nie łoluj!

Zwolnić kroku, bo i tak byczek skręcił się już na zakręcie, a za chwilę pozostałe trzy krowy i jakszka zajęły całą szerokość błotnistej, wyjeżdżonej drogi, którą z obydwu stron osłaniały zboża. Wpędził na boczną drożkę, ogrodzoną po bokach pojedynczymi obladrkami. Nie-

daleko była świeża łąka. Past tu dopiero od tygodnia, ale krówska dzień w dzień przychodziła do zagrody przeładowane jak beki, że tylko postękiwały. Gospodyni spoglądała teraz na niego łaskawiej, a nawet raz i drugi podsunęła mu smaczne gołeniec. Ale najwięcej uradowany był z tego, że przy nowo łące biegła droga, którą się szło do Kuchar. Godzinami wpatrywał się w ogromne topolowe czuby, wystające zza ziemi, myśląc, że są to te same drzewa, które stoją koło kucharskiego dworu. A przecież trochę w bok od tych topoli była ich chatupa.

Rozpostarł sukmanek pod krzakami, położył się i patrzył w niebo, które od samego świtu było szare, zawleczone chmurami. Ogarnął go jakiś przyjemny bezwład. Głowa sięgała, przywarła do ziemi i co chwila sprzed oczu znikało pole, zastlane żużlami powiekami. W cieple jaskowego ciała zbierał się zdradliwy sen, zganiany chłodnem wiatrami ze świata. Półsenem wy-

siłkiem bronił się i patrzył przez rzęsy na przyćmioną łąkę, która jakoś wydawała się coraz rozleglejszą, bezbrzeżną...

Widąc graniastej uprzykrzyło się to deptanie w jednym miejscu, bo podniosła łeb, rozejrzała się i wolnym krokiem poszła w stronę rowu. Z wierzbin, z tataraku i gęstego sitowia wystawał czerwony grzbiec i duże, wygięte rogi. Potem zniknęła zupełnie. W górę tylko chybały się wierzchołki zieleni, rozczepiały się z szumem gąłęzie i nisko, po rąkami, chlupotała woda. Na drugim brzegu, zaraz za wąskim pasem trawy, były zagony buraków. Krowa zadarta łba i prawie klusem poszła się w tę stronę. Jej śladem, po krótkim wahaniu, poszła reszta bydła.

Jednak ktoś doniósł o tem Paciorkowi, bo niebawem pokazał się z biczem w ręku. Zaraz za nim biegł chłopak. Obaj zalecieli bydlę z obustron i popędzili je drożką, która szła wukos przez pole i skręcała do wsi.

Przedpołudniem chmury się trochę przetrwały i postrzępiły, że miejscami obnażał się pogodny błękit.

Niekiedy na te wolne przestrzenie wypływały słonce i patrzyło na ziemię potokami ciepłego światła. Głęboko, pod wierzchołkami gąłęziami, łaskotało jaskowe powieki.

Spojrzał w zieleni, która zwiślała nad głową gęstem, pachnącem sklepieniem.

— Olaboga, a bydlę!?

Rozejrzał się, a potem wpadł z krzykiem w zarośla, przeskoczył rów i zobaczył skotłowane buraki. Bydła i tu nie było. Wtedy rzucił się do domu naprzecią przez wierzwywa, kartofle, len, potem miedzą przez żyto.

Gospodarz smarował wóz na podwórzu.

— A wejno Zosia, pewno co z bydlęm sie stało!

Kobieta wybiegła naprzeciwno.

— Jasiek, a co z krowami!?

— Olaboga, Paciorek my zajum, o mój Boże!

— A gdzieś ty był nimoto, co? Ja cie nauce pasenia!

Przewalila go w koniczyznę i zaczęła bić.

— O Jezusie, już nie bede! O Jezusie! szewty nie bede!

Gospodarz skoczył bronić chłopaka i zaczął szamotać się z żoną.

— Odyńdź parobasie, bo me ponurzas! Do guoju z pazurami, a nie do mnie!

Chłop odwrócił się do Jasika.

— Widzisz, dobrze ci zrobiła, a teraz chodź z panem po krowy.

Poszli w stronę ostatnich zagrod. W podwórzu u Paciorka nie było nikogo, tylko duży, żółty pies biegł po drucie wzdłuż gospodarskich budynków i naszczekiwał. Gospodarz wszedł do izby. Paciorek siedział przy oknie i palił papierosa. Nieduża dziewczyna, trochę starsza od Jasika, zmywała statki.

— Co, ponośta było my zajeni? Straśnie was ukrzywdziło!

— Obacysz z sołtysiem przy tak-sie!

Przyzecz, Jasków gospodarz, wysunął się naprzód i spojrzał hardo.

— Już wy łepi, Paciorek, nie spekulujta, ino wypuśćta my bydlę, bo głodne.

— A skoda to co? Z nieba my uakapalo, zebyum cyjemy krowamy spas? Przyprowadziem sołtysa, świadków, niech widzu i niech tak-saju!

Jasiek tymczasem przezywał się z Olkiem, który za stołami, na sadku, pilnował zajętego bydła. Zaczęli

ciskać w siebie kamieniami. Olek skoczył pod szopę i spuścił psa z łańcucha.

— Bierz go Neptek, za gołeniec parzychowego wyzracu!

Ale z mieszkaniem wamraz wychodzili chłopci. Jasiek trzymał się blisko gospodarza i ze strachem spoglądał w podwórze.

Niedugo sprowadzili sołtysa i dwóch chłopów. Paciorek przepędził bydlę z sadku na podwórze, a Jasiek zajął je prosto do zagrody.

Na drodze podbiegł Olek.

— A puść teru, złodzieju, wo skode, to bedzies miał gasty potumane!

— Pocałujes me!

Zboku, zza zboża pokazywały się chwilami czapki i głowy chłopów, idących szanować paciorkową szkodo.

Popołudniu Jasiek znów wypędził na łąkę. Gospodyni odprowadziła go z bydlęm, aż do szerokiej drogi i rzekła naodchoconu:

— Pani znowudze do Kuchar, zeby cie wzieni. Przynały jedzes do pasenia.

Radość i dziwny niepokój przeżywał się w jaskowej duszy. Otrząsnął się, jakby chciał zrzucić z siebie jakiś obrzydliwy ciężar. (Pa-